



Guy de Maupassant

PORTRET

Guy de Maupassant

Portret

Przełożył Zygmunt Niedźwiedzki

.....

Fundacja FESTINA LENTE

— Patrz, Milial! — odezwał się ktoś w pobliżu mnie.

Spojrzałem w stronę wskazanego, od dawna bowiem miałem ochotę poznać tego donzuana.

Był to mężczyzna niemłody już. Szpakowate i gęste jego włosy o zamglonej siwiźnie przypominały nieco owo futrzane czapki, w jakie się ubierają niektóre ludy północne, a piękna, dość długa broda, spadająca mu na piersi, miała w swoim wyglądzie też coś z wełnistego futra. Rozmawiał cicho z jedną z kobiet, nachylony ku niej, zapatrzony w nią pełnym słodczy, hołdu i pieśczoć spojrzeniem.

Znałem jego życie, a przynajmniej to, co wszystkim było znane. Był kilkakrotnie kochany do szaleństwa, rozgrywały się dramaty dokoła jego nazwiska. Wyrażano się o nim ogólnie jako o mężczyźnie nadzwyczaj ujmującym, niezwyciężonym prawie.

Kiedy się zwracałem z zapytaniem do kobiet, które mu oddawały najwięcej pochwał, pragnąc zbadać, w czym by mogła polegać ta jego władza, odpowiadały wszystkie po pewnym namyśle:

— Ja nie wiem... To jakiś czar...

Nie był on wcale piękny. Nie miał też w sobie szyku, jaki lubimy przypisywać pogromcom serc

niewieścich. Pytałem więc samego siebie, zaciekawiony, w czym by się mógł ukrywać szczególny urok tego człowieka? W dowcipie? Nie zacytowano mi nigdy z jego ust ani jednego zdania, nie podnoszono nawet jego inteligencji. W spojrzeniu? Być może. Czy w głosie? Głos pewnych osób miewa w sobie czasami pewien nieodparty wdzięk zmysłowy, niemal smak czegoś wybornego, tak że słuchając ich, uczuwamy apetyt, a dźwięk ich głosu spływa na nas niby smak łakoci.

— Znasz osobiście Miliala? — zapytałem przechodzącego znajomego.

— Znam.

— Poznaj mnie z nim.

W minutę potem zamieniwszy uścisk dłoni, rozmawialiśmy już obydwaj. Wszystko, co wychodziło z jego ust, było rozsądne, dawało się słuchać z przyjemnością, nie zawierało jednak nic nadzwyczajnego. Głos natomiast był w rzeczy samej piękny, słodki, dźwięczny, pieszczotliwy; zdarzało mi się jednak już słyszeć głosy o bardziej ujmującym i wzruszającym brzmieniu. Słuchało się go z satysfakcją, jakby się patrzyło na malowniczo tryskające źródło. Nie trzeba się było wcale nateżać, by towarzyszyć myślą temu, co mówił, żaden dwuznacznik nie pobudzał tak ciekawości słuchacza, nie trzymał zainteresowania w napięciu. Konwersacja z nim była raczej wypoczynkiem i nie wzniecała w partnerze ani żywej żądzy odpowiedzi czy też przeczenia, ani zachwyty zachęcającego do potakiwań.

Z równą łatwością zresztą przychodziło replikować jak przysłuchiwać mu się.

Odpowiedź zjawiała się na ustach sama przez się, gdy skończył mówić, a słowa płynęły jakby w naturalnym następstwie tego, co przed chwilą powiedział.

Zastanowiła mnie wkrótce pewna refleksja. Znałem go dopiero od kwadransa, a zdawało mi się, że jest jednym z mych najdawniejszych przyjaciół, że wszystko u niego znane mi jest od dawna: jego twarz, ruchy, głos, myśli.

Naraz, po kilku zaledwie chwilach rozmowy wydało mi się, jakby pozostawał w najściślejszym ze mną stosunku. Wszystkie drzwi stały pomiędzy mną a nim otworem i byłbym mu się może zwierzył, gdyby tego zażądał, z rzeczy, o jakich się zazwyczaj mówi tylko najdawniejszym przyjaciołom.

Zaiste — było w tym coś tajemniczego. Owe zamknięte zapory, dzielące jedną istotę od drugiej, jakie czas po kolei usuwa, skoro wzajemna sympatia, powinowactwo gustów, ta sama kultura umysłowa i stałe stosunki przetrzebią je nieco, zdawały się między mną a nim nie istnieć — a także bez wątpienia między nim a wszystkimi kobietami i mężczyznami, których przypadek postawił na jego drodze.

Rozstając się po upływie pół godziny, przyrzekliśmy sobie widywać się często. Dał mi przy tym swój adres i zaprosił mnie do siebie na śniadanie, które miało się odbyć pojutrze.

Zapomniawszy godziny, przybyłem za wcześnie; nie wrócił do siebie jeszcze.

Milczący, bardzo poprawny lokaj, wprowadził mnie do ładnego salonu, mrocznego trochę, o charakterze zacisznym, serdecznym. Uczułem, że mi tam dobrze jak u siebie. Ileż to razy zauważałem wpływ mieszkania na umysł i charakter. Są wnętrza, które człowieka wprost ogłupiają, gdy w innych – na odwrót: jesteśmy zawsze pełni werwy. Jedne przejmują nas smutkiem, chociaż są białe, jasne, złocone — w innych jest coś rozweselającego, mimo stłumionych barw mebli i obicia. Oko nasze, podobnie jak i serce ma swoje nienawiści i sympatie, z których nam się częstokroć wcale nie zwierza, narzucając je tajemnie, ukradkiem, naszemu humorowi. Harmonia mebli, ścian, styl całości oddziałują chwilowo na nasz komfort intelektualny jak powietrze lasu, morza lub gór wpływa na ciało nasze.

Usadowiwszy się na sofie, zasypanej poduszkami, uczułem się naraz unoszonym, przytulonym przez te małe woreczki pierzy, obszyte jedwabiem jak gdyby kształt mego ciała i miejsce dłoń — wyznaczone były z góry na tym sprzęcie.

Począłem się rozglądać. Nic jaskrawego w całym pokoju; wszędzie rzeczy ładne, ale skromne, sprzęty proste, choć rzadkie, wschodnie portiery, niewyglądające na towar z Luwru, lecz z wnętrza haremu.

Naprzeciw mnie zaś wisiał portret kobiety. Był on średnich rozmiarów, odtwarzający głowę i górną część

korpusu oraz ręce trzymające książkę. Przedstawiona na nim osoba była młoda z odkrytą głową, ozdobioną płaskim stroikiem ze wstążek; usta miała trochę smutnie uśmiechnięte. Nie wiem, czy to skutkiem nadzwyczaj skromnego stroju, czy wskutek wrażenia, jakie wywierała swym naturalnym ułożeniem, nigdy jednak żaden wizerunek kobiety nie wydał mi się tak bardzo na swoim miejscu, jak ten w tym apartamencie. Prawie wszystkie znane mi portrety kobiece miały w sobie coś teatralnego, czy to dla sukni zbyt strojnych, czy wskutek wyrazu twarzy, zdradzającego najpierw świadomość pozowania wobec malarza, a potem – wobec tych wszystkich, którzy obraz oglądać będą; innym razem zaś ten sam efekt wywierała niedbała poza lub negliż starannie dobrany.

Wyobrażone na nich kobiety to się puszą, pełne piękności i majestatu, z miną wyniosłą, której w życiu nie umiały długo zachować, to znów się mizdrzą bez końca w martwej niezmienności płótna, a każda z nich ma coś: klejnot lub kwiatek, fałd na sukni lub grymas na ustach, w którym się poznaje rękę malarza, goniącą za elektem. Czy w kapeluszu na głowie, czy w koronkowej chusteczce lub tylko w włosach własnych — przenikamy w nich zawsze coś niezupełnie naturalnego. Co? — nie wiadomo, ponieważ ich osobiście nie znaleźmy, lecz wyczuwamy to. Wyglądają jakby się znajdowały na wizycie u ludzi, którym się chcą podobać, którym rade by się pokazać z najlepszej strony, i w którym to celu wystudiowały swą pozę skromną bądź okazałą.

Co o tej powiedzieć? Była ona u siebie w domu i sama jedna. Tak jest, była sama, uśmiechała się bowiem, jak się człowiek uśmiecha w chwilach samotnej zadumy o czymś smutnym i słodkim – a nie, jak się uśmiecha, kiedy na niego patrzą. Była tak dalece samą i tak całkiem u siebie, że czyniła cały ten duży apartament pustym, zupełnie pustym. Ona go dopiero swą osobą wypełniała, ożywiała, sama jedna. Mogło się w nim zebrać dużo osób, całe to grono mogło salon napęłnić wrzawą rozmów, śmiechów, śpiewu — ona pozostałaby tam i taka zawsze sama jedna, z tym swoim uśmiechem tchnącym samotnością i sama wyposażałaby go w życie swymi oczyma z portretu.

I to spojrzenie jej oczu było także jedynym. Padało ono wprost na mnie, pieszczotliwe acz stanowczo, nie dostrzegając mnie. Wszystkie portrety wiedzą, że się na nie patrzy i odpowiadają oczyma — oczyma, które widzą, myślą, które nas prześladują, nie odrywając się od nas ani na chwilę, od momentu naszego wejścia do pokoju, aż, dopóki go nie opuścimy.

Ten portret mnie nie widział, nie widział niczego, chociaż spojrzenie jego było utkwione prosto we mnie. Przypominało mi ono przedziwny wiersz Baudelaire’a:

„I oczy twe, przyciągające jak portretu oczy”.

Przyciągały mnie w rzeczy samej w niezwykły sposób, nieciły we mnie niepokój dziwny, nowy, potężny — te oczy malowane, co były kiedyś żywymi, co może żyły jeszcze. O, jaki czar nieskończony i

roztapiający duszę niby wiatru tchnieniem, uroczy jak niebo, konające w liliowym, różowym i błękitnym zmierzchu, i trochę melancholijny, jak krocząca za nim noc — dobywał się z tych ram ciemnych i z tego nieprzeniknionego spojrzenia. Oczy te, stworzone kilku pociągnięciami pędzla, kryły w sobie tajemnicę tego, co zdaje się istnieć, a czego nie ma wcale, co może zamigotać tylko w spojrzeniu kobiety; tajemnicę tego, co w nas rozbudza miłość.

Drzwi się otworzyły, Milial wszedł. Poczuliśmy się wzajemnie usprawiedliwiać: on ze spóźnienia, ja z nazbyt wczesnego przyjścia, wreszcie zapytałem go, wskazując na portret:

— Nie poczyta mi pan za niedyskrecję, jeżeli zapytam, kim jest ta kobieta?

Odrzekł:

— To moja matka, zmarła w młodym wieku.

Usłyszawszy to, zrozumiałem, skąd pochodził niewytłumaczony urok tego człowieka!

Guy de Maupassant
Portret
Tytuł oryginału:
Un portrait

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-381-1

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl